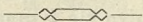


## KRYTYKA I SPRAWOZDANIA.



**Aleksander Brückner.** *Dzieje języka polskiego z 121 ilustracjami.* Lwów, 8<sup>o</sup>, str. 186.

Pierwsza tego rodzaju książka w naszej literaturze, a więc już przez to samo zaciekawia. Pomnaża ciekawość imię autora, dobrze znane i zasłużone na polu języka i literatury naszej. Bierzemy książkę do ręki z przekonaniem, że znajdziemy w niej niejedną rzecz nową, albo inaczej, aniżeli dotąd, pojętą — i nadzieja nas nie zawodzi. Rzecz sama dla siebie jest najlepszą ozdobą, ale i wydawnictwo nie szczędziło niczego, żeby ją i zewnętrznie miłą uczynić. Sama oprawa, papier, druk: wszystko w najlepszym gatunku i smaku, a oprócz tego ilustracje! Prawie co strona, to pyszna jakaś ilustracja, przedstawiająca w fotograficznej wierności od najdawniejszych czasów po dni dzisiejsze zewnętrzną stronę naszego piśmiennictwa, a więc inicjały rękopisów i same rękopisy, karty tytułowe książek, najrozmaitsze ozdoby i znaki drukarskie, autografy znakomości literackich, od Kochanowskiego zaczawszy.

Miło widzieć, że pierwsza rzecz w literaturze i od razu taka ładna i dobra, ale nie dziwno, gdyż wyszła z pod pióra Brücknera, a dostała się do rąk, które ją ocenić umiały i z miłością wydały.

A więc niema jej nic do zarzucenia? Jest, i niejedno, to i owo zaraz zaznaczymy, nie dlatego, żeby wartość książki lub zasługę autora obniżyć, ale w nadziei, że jeżeli w tych zarzutach będzie co słusznego, to przyczyni się może do ulepszenia drugiego wydania.

Nasamprzód wydaje się nam, że dzieje te należałoby podjąć w obszerniejszem znaczeniu i przedstawić rozwój naszego języka nie tylko pod względem gramatycznym tj. jak wyglądała jego głosownia, morfologia, składnia i słownik w różnych czasach, ale także, jak ten język w tych różnych czasach wygląda jako artystyczne narzędzie

do oddania myśli i uczyć narodu i na jakie zdobywa się tony i akordy, tym myślom i uczuciom wtórując. Bardzo trafnie i słusznie powiada autor: „Najbardziej z zewnętrznych jego (naszego języka) własności w pada w oko misterna tkanka jego wokalizacyi; w żadnym języku słowiańskim nie faluje tak, nie mieni się tak, tych samych słów szata, jak właśnie w polskim“. Ale wydaje mi się, że obok tego należałoby wskazać na przykładach z różnych czasów, że istotnie, jak niegdyś powiedziano: w nim się zielenią lasy, w nim się łąki śmieją, grzmią pioruny, wrą morza, dmą wichry, dżdże leją — i że z niego rzeczywiście dobyto takich tonów i akordów na odmalowanie uczuć i myśli narodu, jakich nie dobyto prawie z żadnego innego na świecie (niektóre ustępy z *Kazań Sejmowych* Skargi, Improwizacya i inne ustępy z III części *Dziadów*, ustępy z *Konrada Wallenroda*, niektóre obrazy i sceny z dzieł Sienkiewicza, *Z dymem pożarów*). Gdyby był szan. autor tylko pobieżnie zaznaczył (na przykładach, jak z nieznaczących i nieudolnych prób w prozie i poezyi dochodzi ten język do niebywałej przedtem potęgi, mocy, siły, malowniczości i nadzwyczajnego arcyzmu np. w *Psalmach* i *Kazaniach Sejmowych*, jak potem to wszystko powoli obniża się i marnuje, aż za Sasów dochodzimy do stanu, z jakim trudno zestawzić nawet wiek XV; jak potem dorównywa klasycyzm francuskiej u Krasickiego, wraca z wolna do swojskiej zamieszłości przez Trembeckiego, Zabłockiego, Naruszewicza, Niemcewicza, uderza w niebywałe przedtem tony u Malczewskiego, dochodzi do zenitu u Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego w poezyi, a w prozie u Sienkiewicza; to wydaje się nam, że byłby nam dał pełniejszy obraz rozwoju naszego języka, książkę swą byłby ogromnie ożywił, z bogacił, poczytniejszą i użyteczniejszą uczynił. Szan. autor kilkakrotnie wpadał na ten trop, ale go sobie widocznie nie uświadomił i konsekwentnie od początku do końca nie przeprowadził.

To jedna ogólna uwaga, jaka się nam nasunęła, drugą zaś jest to, że w następnem wydaniu pragnęlibyśmy widzieć jeszcze mniej tu i ówdzie gramatyki, a więcej historycznych i kulturalnych wywodów, do których język dostarcza niekiedy tak obfitych i wiarygodnych źródeł. Pragnęlibyśmy zatem widzieć w przyszłym wydaniu tej książki etnograficzny szkic Polski z chwili, kiedy się wyłania na widownię dziejową, w połączeniu z objaśnieniem imion z pierwotnych dziejów naszych; powinno tu być i to, co napewne wiemy o religii pogańskich przodków naszych w związku z tem, co się z tego po dzień dzisiejszy w naszych zwyczajach i obyczajach zachowało. Dałoby się zapewne także powiedzieć coś i o stosunkach gospodarczych, handlowych, socyalnych i politycznych tych czasów. Historia języka polskiego, wyjaśniająca te sprawy, oddałaby największą przysługę dziejom narodowym i byłaby dla całego społeczeństwa nadzwyczajnie interesująca. I tych spraw szan. autor tu i ówdzie dotknął, ale tylko ubocznie, jakby od niechcenia, a my pragnęlibyśmy, żeby tu było wszystko, nie tylko to i owo, i żeby było traktowane szczegółowo (choć zwięzłe) a nie dotknięte tylko z pewnemi niedomowieniami, gdyż objaśnienia takie nie zawsze są wystarczające nawet dla specjalistów i budzą różne wątpliwości. Ze szczegółów, do których prze-

chodzę, a które budzą pewne wątpliwości czyto przez owe niedomówienia czy z innych przyczyn, zaznaczę tylko niektóre. W istnienie Piasta już teraz szan. autor wierzy, dawniej podobno miał co do tego pewne wątpliwości, ale chce koniecznie zrobić z niego „tłuczka“; obstajemy stanowczo przy naszym objaśnieniu tego imienia („Lud“, VIII, 394). Mamy wątpliwości co do wyvodu imienia Popiel, Chwościsko, Rzepica, Mieszko, Kruszwica i kilku innych. Wandy Kadłubek z pewnością sobie nie wymyślił, jak nie wymyślił Lechów, o co go kto inny posądził. Wawel inne ma znaczenie podług nas i inaczej powstał. Imienia Jaracz nie wywodziłbym nigdy od Horacego, bo to jest z pewnością skrócenie imienia Jarosław lub Jaromir i dlatego też tyle jest nazwisk rodowych u naszego ludu tego brzmienia. Wynika to i z tekstu, z którego szan. autor Jaracza wyjął. Czytamy tam: Jaroslaus filius Jarachij. Jarosław był synem Jaracza tj. także Jarosława: syn miał imię po ojcu, czego zwyczaj!). I Jaktor nie ma nic do czynienia ze starożytnym Hektorem. Jest to także imię polskie, pochodzące od starożytnego, dzisiaj już nieużywanego przymiotnika jak(i), co znaczący mężny, dzielny. W całości brzmiało to imię Jaczymir, Jaczmir (u nas i u Czechów), stąd mamy nazwę miasteczka Jąćmierz (=Jaczmierz, w r. 1420: Jaczimirz) i nazwiska, jak Jaczmierski. Skracano się zaś to imię u nas rozmaicie. W bulli z r. 1136 mamy imię Jak, w innych źródłach Jaksoń (1177), Jaksza (ca 1200) i tp., a mogło brzmieć także i Jakiesz, Jaksza, Jakota, Jakieta, Jakta i tp., jak wskazują nazwiska rodowe tego brzmienia. Z Jakta zaś mogło Jaktor powstać tak samo, jak z Jan mamy w źródłach Janor, z Jęch (=Jędrzej) Jęchor, z Lub (=Lubomir) — Lubor, z Pęk (=Pękosław) — Pękor, z Un (=Unisław) — Unor, z Nikołąj (=Mikołaj) — Nikor (1175), z Mikołąj — Mikora (1155) i t. d. To że Floryańska brama w Krakowie zowie się inaczej Tworkowa, nie dowodzi, żeby Tworek miał co wspólnego z Floryanem. Tworek (skąd miejscowość Tworkowa), Twor (1125), Tworzán (1237) i t. p. to skrócenie imienia Tworzimir (1203). Floryana tłómaczono u nas Kwiatek (1136), Kwiecik, Kwiecisz, Kwiecisław, ale z Tworkiem, o ile nam wiadomo, Floryan nigdy nie miał nic do czynienia.

Napotykamy czasem w tej książce rzeczy dziwne, takie, jakich tu nie spodziewaliśmy się spotkać. Słusznie powiada szan. autor, że mieliśmy pierwotnie *angiel*, *angioł*, ale jak przyszło do dzisiejszego *anioł*? Twierdzi autor, że to „g nam tutaj wadziło“, więc „zrobiliśmy z tego *anioł*“ 34). Ależ to nie sprawa głosowniowa! To *g* bynajmniej nam nie zawadzało i utrzymywało się w tym wyrazie, jak sam autor o tem mówi, do XVI w. i byłoby się zachowało po dziśdzień, gdyby nie rzecz inna, ta, która i z ewangelii zrobiła ewanielię, z geografii — jeografię, z logiki — loikę, z generała — jenerała. A co to było, każdy wie i sam szan. autor ze wszystkich najlepiej i dlatego właśnie dziwimy się,

---

<sup>1)</sup> Formę Jaracz porówn. z serbską Vidacz, Dragacz, Vukacz. Zob. Miklosich. Die Bildung d. slavischen Personennamen, 231.

że taką rzecz u niego spotykamy. Litera *g* służyła nam niegdyś na oznaczenie *g* i na oznaczenie *j*. Swojskie wyrazy, jak: gechac (=jechać), gem (=jem), Gan (=Jan), gesoro (=jezioro) każdy wiedział, jak przeczytać, ale obce angol jeden czytał angioł, drugi anioł; ewangelia jeden czytał tak, drugi ewanielia; stąd też także geografia i jeografia, logika i loika, generał i jenerał: to nie sprawa głosowni, ale sprawa dawnego stanu naszej pisowni i czytania.

Inaczej zupełnie wyobrażamy sobie wytworzenie się naszego języka pisemnego, aniżeli szan. autor. Naszego języka pisemnego nie stworzyli z pewnością pismacy, bo pisma nasze były do XVI w. nieliczne i mało komu dostępne, pod względem pisowni niedołążne i ogół nasz nie na nich się kształcił, lecz na pismach łacińskich. Jeżeli jednak ogół nasz oświecony ma mimo to w XVI w. od razu jednolity język pisemny, to widocznie ludzie oświeceni (lepiej by może powiedzieć „dobrego wychowania“, bo niekoniecznie czytelni i pismienni) od dawna już mówili jednym dyalektem, nie mazurzącym, jak wskazują zabytki pismienne od najdawniejszych czasów, a zatem wielkopolskim, bo takim, nie mazurzącym jest dyalekt wielkopolski. Jak przyszło do tego, że ludzie oświeceni i lepiej wychowani tego właśnie używali dyalektu, łatwo zrozumieć. Nie kto inny tylko dwór nadawał ton, jak we wszystkim, tak i w mowie. Mówić inaczej, aniżeli mówiono na dworze królewskim, uchodziło po prostu za nieokrzesanie: więc jak mówiono na dworze Piastowskim, potem na dworach Piastowskich, gdy się ich wytworzyło więcej, tak starano się mówić na dworach magnackich, szlacheckich i chudopacholskich. Dwory Piastów, czy one były potem w Krakowie, w Płocku, Sandomierzu czy gdziekolwiek, były jakoby uniwersytetami dobrego wychowania, mówienia, oświecenia i wszelakiego ćwiczenia rycerskiego, dwory magnackie to niby szkoły średnie tego wszystkiego, a szlacheckie jakoby ludowe. Chudopacholek „ocierał się“ za młodu o dwór możniejszego rycerza, rycerz o dwór magnata, magnat o dwór królewski czy książęcy. Im niżej, tem kultura, oświecenie i język na niższej znajdowały się stopie, ale wszystko to starało się dostroić i dostrajało się do tego, co było wyżej i najwyżej. Tak wytworzył się podług nas jednolity język warstw oświeceńszych w pierw, aniżeli powstała literatura, i język ten całkiem naturalnym sposobem stał się potem organem literatury. Zabytki dawne nie mazurzą, literatura XVI w. pojawia się od razu w jednolitym języku nie mazurzącym, bo ten język, od dawna w praktyce życia, nie w pismnictwie się wytwarzający, gdy pismnictwo się rodziło, był już w zasadniczych swych rysach gotowy. To nie sztuczny produkt jakiejś alchemicznej czesko-małopolskiej kuźnicy, jak chce szan. autor, ale naturalny bujny krzew na ziemi wielkopolskiej wyrosły, krwią Piastów podlany, ich tchem wygrzany, łzami Piastowskiej córy Jadwigi ofiarnie spłakany, jej dziewiczą dłonią świętą ubłogosławiony i w potężne, olbrzymie drzewo wybujały.

Mimo całego respektu dla wiedzy i nauki szan. autora nie możemy także zgodzić się na jego hipotezę co do „Bogarodzicy“. Trudno na tem miejscu i przy tej sposobności wchodzić we wszystkie szczegóły, zaznaczyć przecież choć to musimy, że formy sławiena i zwole na są

niewątpliwie czeskie, bo takich form, jak to szan. autorowi dobrze wiadomo, niema już w polskim języku za czasów Kingi, do której czasów szan. autor Bogarodzicę odnosi, a nie było ich już na początku w. XII, jak oświadczy bulla z r. 1136 i niezawodnie nie było ich już za Bolesława Chrobrego. Że więcej czechizmów w dwu pierwszych zwrotkach niema, to jeszcze nie przyczyna, żeby tych dwu za czechizmy nie uważać; może ich jest nawet więcej, ale niedokładność piśmowni nie pozwala odróżnić ich od polszczyzny. Niczego nie dowodzi i to, że pierwowzoru Bogarodzicy w czeszczyźnie niema, bo może to być pieśń oryginalna, ale napisana przez takiego, co po czesku dobrze, a po polsku z czeska, ale jakoś mówił. „Kierleszowanie“ wojska w r. 1249 nic nie znaczy, bo trzeba przypuścić, że w dawniejszych czasach, kiedy rzadko kto umiał czytać i pisać, także rzadko kto umiał cały tekst pieśni dokładnie na pamięć i zapewne kapelani tylko tekst cały śpiewali, a wojsko chórem *kyrie eleison* podchwytowało i z tym okrzykiem na nieprzyjaciela uderzało. Wyraz *bożyc*, który już potem nie powtarza się w polszczyźnie i niema go wcale w języku czeskim, wyraz, który pozostał jeszcze z czasów pogańskich, (kiedy to niejeden był *bożyc*<sup>1</sup>) a nie wyrugowało go jeszcze wyrażenie chrześcijańskie *Syn Boży*, na łacinie oparte — świadczy, że Bogarodzica nie jest zbyt oddalona od przyjęcia chrześcijaństwa w Polsce. Dawności jej dowodzi także i wyraz *dziela* zam. późniejszego dla, nie napotykanym już wcale w najdawniejszych zabytkach polskich, a znany z języka starosłowiańskiego, jak to sam szan. autor zaznacza. Z tego i wielu a wielu innych rzeczy wynika, że niezawodną prawdą jest tylko to, co prof. Nehring o Bogurodzicy niegdyś napisał, a to wiąże Bogurodzicę z Gnieznem i Wielkopolską, a nie ze Starym Sączem czy Sandomierzem i Kingą, i nie wyklucza co do dwu pierwszych zwrotek nawet autorstwa św. Wojciecha. Co innego sprawa rękopisów, nut i t. d.

Szanowny autor do pewnego stopnia rozgrzesza tych, co w języku polskim po przeczeniu kładą *Accusativus*, przez Lama do wciwnie *tromtadriticus* nazwany, rozgrzesza argumentem, że „chłop wielkoruski, co i na oczy Niemca nie widział, biernika używa, gdzieby go i najzagorzalszy tromtadrata nie położył“. Istotnie to prawda, że ten grzech przeciw duchowi języka naszego, to nie tyle wpływ niemieczyny, ile ruszczyzny, bo tak grzeszy się wszędzie, gdzie tylko Ruś styka się z nami. Ale nie o to chodzi głównie, czy to germanizm czy rusycyzm, tylko o to, czy to grzech przeciw naszemu językowi, czy nie. A ponieważ wiemy napewne, że to grzech, bo niszczy przyrodzoną właściwość naszego języka, stworzoną duchem przodków naszych, to przeciw takiemu każeniu swego języka bronić się musimy całą siłą. Grzech przeciw duchowi języka jest nierozgrzeszalny, jak nieprzymierkiem grzech przeciwko Duchowi św. A już zgoła nie może nas pobudzać do pobłażliwości to, że ci lub owi Słowianie na takie grzechy sobie pozwalali i „język rosyjski dawno już (pod tym względem) wyprzedził polski“ (str. 161).

<sup>1</sup>) Kiedy to był, żeby dać przykład, bóg Swarog i bożyc (syn jego) Swarozyc.

Wyćwirny (str. 141) w znaczeniu wymyślny nie ma nic wspólnego z wyrazem włoskim *vicerco* (fantazyja w muzyce). Szan. autor na innem miejscu powiada, że nasze psalterze z XIV w. „straszne rzeczy“ nazywają oćwiernice, a Kaszubowie coś dzikiego zowią oćwiarą. Otóż jak wyraz oćwiernice brzmiał także oćwirnice, a jest tym samym wyrazem, co oćwiarnice; tak wyćwirny = wyćwierny = wyćwiarny, a wyrazy: wyćwiarny (wymyślony, zmyślający), wyćwiarnik (zmyślający, prawiący niestworzone rzeczy), wyćwiarować (zmyślać, niestworzone rzeczy prawić) są u ludu naszego (np. w Sandomierskim) powszechnie znane i nawskróś polskie.

Sabaty, zbóje węgierskie, wzięliśmy rzeczywiście z języka węgierskiego, ale przedtem Węgrzy wzięli ten wyraz od nas: sobota to pierwotnie człowiek odludnie (np. w lasach) przebywający, a potem i z bóją, bo taki żył z rozboju. Prawda, że mika, mikuś oznacza niedźwiedzia, ale trzeba było koniecznie objaśnić, że to skrócenie imienia Mikołaja. Tak przez żart nazwano niedźwiedzia, jak bociana mazury nazywają Wojtkiem, a wielkopoleanie Wachem tj. Wawrzyńcem. W moich rodzinnych stronach zamiast Mika, Mikuś mówią Miś, Misiek, a tych, co „wałaszą“ zwierzęta (byli nimi tutaj wędrowni Morawcy) zowią miśkarzami, co, jak z tego wynika, oznaczało pierwotnie niedźwiedznika, człowieka, co chodził z niedźwiedziem, lecz taki widocznie zarazem i zwierzęta wałaszył, skoro ten wyraz takie przybrał z czasem znaczenie. Wałaszyć zaś, jak trafnie objaśnia szan. autor, pochodzi od wałach, a to dla tego, że Wałasi tem się trudnili.

Nie mogę w żaden żywy sposób zrozumieć, dlaczego pisownia: Syon, pijany, Marya ma być „jawnym nonsensem“, a czemś lepszem, jeżeli nie boskiem objawieniem, pisownia: Sjon, pja ny, Marja; ta pja na ortografia, że ją tak nazwiemy od wyrazu, który ją najlepiej charakteryzuje, nie jest przecież niczem doskonalszem od tamtej, a gorsza, jak z wielu różnych względów, tak już przez to, że ogryza wyrazy, czyniąc z dwuzgłoskowego wyrazu Syon jednozgłoskowy dziwoląg Sjon, a z trójzgłoskowych wyrazów: Marya, pijany dwuzgłoskowe dziwolągi. Wiem, kto się za tą ortografią oświadcza, próbowałem też do niej się przekonać i w nią uwierzyć, ale napróżno: cała moja mazursko-polska natura burzy się przeciw temu i krzyczy: *veto!* nauka zaś nie dostarcza ani jednego argumentu, któryby ten krzyk mógł uciszyć. Ale *de gustibus* najlepiej nie rozprawiać.

Co do ilustracji, to żałujemy, że niema nic z Szymonowicza, z Piotra Kochanowskiego, który już przez samą Jeruzolimę wywołaną tak bardzo się zasłużył około języka i literatury naszej; że niema nic z Zimorowiczów i innych, np. ze Starowolskiego. Z Mickiewicza niema nic prócz początku II księgi *Pana Tadeusza*. Mickiewicz „pograżon“ zupełnie nie tylko wobec Krasińskiego, Słowackiego i „nowego Konrada“, ale i wobec Konopnickiej i Kasprowicza, bo ci mają po dwie ilustracje. Takie rzeczy, jak tytuły *Popiołów*, *Chłopów*, *Duchów* itp., które codziennie widzimy za oknami księgarskimi, mogły śmiało ustąpić nieco miejsca poecie, co wy dobył najpotężniejsze tony narodowe z tej złotej harfy Wenedów, którą nazywamy językiem polskim. Ale temu autor nie

winien, bo ilustracje dobierało wydawnictwo, które zresztą, jak to już zaznaczyliśmy wyżej, wywiązało się ze swego zadania z miłością i jak najlepiej.

Moglibyśmy jeszcze niejednen uczynić zarzut czy na ogół czy szczegółom, ale choćbyśmy tych zarzutów uczynili bardzo wiele i wszystkie były bezwarunkowo słuszne (to dodajemy wyraźnie, bo wiemy doskonale, że na absolutną mądrość i rację nikt nie otrzymał patentu ani tu, ani gdziekolwiek, ani nawet w Berlinie, choć Prusacy usiłują w świat wmówić, że ten patent mają), to, jak już zaznaczyliśmy wyżej, zamiar sam, wartość rzeczy i zasługa zostaną nietknięte. Jeżeliby nasze uwagi przyczyniły się choć w najmniejszej mierze do ulepszenia następnego wydania, czulibyśmy się szczęśliwi, bo spełniłaby się i nasza intencja, w jakiej wypowiedzieliśmy te uwagi.

Na zakończenie niech nam jeszcze będzie wolno wypowiedzieć nadzieję, że szan. autor nie poprzestanie na tej pracy i obdarzy nas może już niezadługo takimi dziejami języka polskiego, jakimi wielce zasłużony około czeszczyzny Gebauer obdarzył Czechów: byłoby to *monumentum aere perennius* i dla rzeczy i dla autora.

S. Matusiak.

**Dr. Nehring Władysław:** *Die russische Volksepik II.* (Mitteilungen der schlesischen Gesellschaft für Volkskunde, zeszyt XV, Wrocław 1906).

W poprzednim zeszycie omawialiśmy treść pierwszej części referatu prof. Nehrnga; obecnie z drugiej części podajemy to, co stoi w związku z polskim materiałem podaniowym. Motyw niewiernej małżonki, często napotykanym w bylinach, jest bardzo rozpowszechniony w podaniach różnych narodów, a między innymi spotykamy go także w Kronice wielkopolskiej jako opowieść o Walterze i Helgundzie, która doczekała się niedawno opracowania artystycznego w Żeromskiego powieści o udałym Walgierzu (Prof. Nehring nazywa Waltera po polsku: Walcerz Wdały). Historia ocalenia Ilii Muromca przez żonę Włodzimierza Kijowskiego nasuwa na pamięć uczonemu badaczowi przekazane w kronice Gallusa wiadomości o podobnych postępkach małżonki Bolesława Chrobrego. Uważa nawet za prawdopodobne, że ten wątek podaniowy z osoby Bolesława mógł przejść na Włodzimierza, gdy wojownicy polscy za dwóch naszych Bolesławów Kijów opanowali. Bogactwa i uczy Włodzimierza, rozstawiane w bylinach, znajdują potwierdzenie w wiadomościach naszych kronikarzy przy opowiadaniu o wyprawach kijowskich.

Sędziwy nasz uczonego godzi się na starodawny wiek bylin, skoro nazwisko Ilii (Ilias van Riuzen) spotyka się już w poemacie „König Rother“ z XIII wieku, który stoi w związku z niemiecką Vilcinasaga, a zarazem przychyła się do tej opinii, która w bylinach upatruje twórczość samorodną. Kto chce się bliżej zaznajomić ze stanowiskiem, jakie prof. Nehring zajmuje wobec wywodów o bylinach Stasowa i Oresta Millera, tego odsyłam do samego referatu.

Przy sposobności dodać należy, że „Mitteilungen der schlesischen Gesellschaft für Volkskunde“ zajmują się w znacznym stopniu słowiańszczyzną, a w szczególności ludem śląskim i wielkopolskim. Zasługa

w tem prof. Nehringa, który razem z prof. Fr. Vogtem jeszcze w r. 1894 założył Schles. Gesellsch. für Volkskunde w tej nadziei, że obudzi się interes do ludoznawstwa górnośląskiego i wyda owoce pożądane. Nadzieje nie omyliły, a szanowny profesor patrzeć może z uciechą na uznanie, złożone mu w 15-ym zeszycie Mitteilungen, który ozdobiono portretem prof. Nehringa, wyrażając wdzięczność za pracę naukową, a przede wszystkim za zasługi, położone około rozwoju śląskiego Tow. ludoznawczego. Do tej wdzięczności dołączamy naszą i dodajemy życzenie, aby ta praca, wprowadzająca naukę niemiecką w poznanie duchowości ludu polskiego, trwała jak najdłużej i nadal równie była owocną.

W tym samym zeszycie znajdujemy ciekawy zbiór *O. Knoopa: Aberglaube und Brauch aus der Provinz Posen*, zebrany z ust ludu polskiego, a zarazem inne artykuły, w których mowa o polsko-słowiańskich pierwiastkach u ludu śląskiego. Podobnie przedstawia się zeszyt 16-ty. Dlatego tem usilniej zwracamy uwagę naszych ludoznawców na wydawnictwa śląskiego Tow. ludoznawczego.

Dr. Michał Janik.

**Stanisław Ciszewski.** *Kuwada. Studium etnologiczne.* (Rozprawy Akademii Umiejętności, Wydział historyczno-filozoficzny, S. II, T. XXIII). Kraków 1906.

Studium Ciszewskiego może służyć za wzór, jak tego rodzaju prace etnologiczne pisać należy.

Zastanowiwszy się na wstępie, co to jest kuwada i jakie o znaczeniu tego zwyczaju istnieją dotychczas w nauce przypuszczenia, stwierdza autor, że zdania uczonych są podzielone.

Poddaje więc sprawę ponownemu zbadaniu, oparłszy ją na daleko szerszej podstawie niż to dotychczas czyniono. Dowodów na ostateczny wynik swych badań szuka w sympatycznej dyetetyce i sympatycznej profilaktyce okresu ciąży, okresu połogowego i okresu niemowlęctwa. W zakończeniu dochodzi do wniosku, że odprawianie kuwady jest kompleksem sympatycznych akcji profilaktycznych, przedsięwziętych po części w interesie nowonarodzonego dziecka, po części zaś w interesie rodzącej. Wobec takiego wyjaśnienia kuwady, odpada przypuszczenie, jakoby należało w niej upatrywać przeżytek z epoki zamiany rodu matryarchalnego na patryarchalny.

Oto krótkie streszczenie pracy autora. Rozwiązuje ona mojem zdaniem sporną kwestyę stanowczo, bo jak słusznie powiada autor (st. 138) „więcej zbliżonem do prawdy bywa zawsze to objaśnienie jakiegoś faktu naukowego, które jest prostsze“.

Przejdźmy do szczegółowego omówienia.

Z pomiędzy etnologów, którzy widzą w kuwadzie przeżytek z epoki ustroju matryarchalnego w nastającej po niej epoce ustroju patryarchalnego i pojmują ją jako manifestacyjne przyznawanie się przez rodzica do ojcostwa dziecka, przytacza autor zdania Bachofena (*Das Mutterrecht*), A Giraud—Teulona (*Les origines du mariage et de la famille*), E. B. Tylora (*O metodzie badań rozwoju instytucji w zastosowaniu do praw małżeństwa i pochodzenia*), S. R. Steinmetza (*Ethnologische Studien*

zur ersten Entwicklung der Strafe) i J. Karłowicza, który w rozdziale VII swoich odczytów: „O człowieku pierwotnym“ przychyła się również do poglądów wymienionych powyżej badaczy.

Dawniejszy pogląd Tylora i J. Lubbocka (Początki cywilizacji) sprowadza autor do hipotezy: 1) iż kuwada jest przeżytkiem z epoki ustroju matryarchalnego i 2) że odprawianiu kuwady dała początek wiara w możliwość sympatycznego oddziaływania ojca na dziecko. Są to, jak słusznie zauważył autor, dwie hipotezy, z których drugą tylko przyjmują H. Ploss (Das Kind in Brauch und Sitte der Völker), C. N. Starcke (Die primitive Familie in ihrer Entstehung und Entwicklung) i L. Dargun (Mutterrecht und Vaterrecht).

Jest jeszcze i hipoteza E. Westermarcka (Geschichte der menschlichen Ehe), że „Kuwada jest uzmysłowieniem pewnej idei z zakresu fizjologii pierwotnej, mianowicie idei o jednakowej w sprawie poczęcia dziecka doniosłości funkcji, spełnianych przez ojca, z funkcjami, spełnianymi przez matkę“.

Dowodów na swoje twierdzenie szuka Ciszewski, jak wspomniałem powyżej, już w sympatycznej dyetyce i sympatycznej profilaktyce okresu ciąży. Rozpatruje ten temat w rozdziale II. Opierając się na bogatej literaturze, tej kwestyi poświęconej, omawia dyetę obydwójga rodziców, dyetę ciężarnej, mającą na celu zabezpieczenie jej od rodzenia bliźniąt. Następnie przechodząc do profilaktyki, zastanawia się nad zapatrzeniem i wpływem wrażeń słuchowych na ciężarną. Dalej mówi o profilaktyce w akcyach męża ciężarnej, jej samej, osób trzecich, stykających się z ciężarną, nie pomija nawet wierzeń w czynności profilaktyczne w odniesieniu do zwierząt.

Za najważniejsze dla tematu uważam wierzenia, odnoszące się do dyety obojga rodziców, i profilaktykę w akcyach męża ciężarnej.

Przechodząc do omówień okresu połogowego, daje autor szereg przykładów kuwady. Można by liczbę ich powiększyć, cofając się wstecz i szukając śladów kuwady w średniowieczu, a nawet w starożytności. Pozostawiam ten temat do artykułu osobnego.

W rozdz. IV zastanawia się autor nad dyetą i profilaktyką, mającą na celu zapewnienie dziecku pomyślnego rozwoju pod względem fizycznym i umysłowym, kończy zaś ten rozdział wierzeniami u Eskimosów. Tu dodać należy, że wiara, iż chuchnięcie na dziecko szczęście przynosi, przechowała się u naszego ludu.

W zakończeniu wyjaśnia Ciszewski przyczyny sympatycznej dyety i profilaktyki ze strony ojca i parodyę rodzicielstwa, poświęcając tej drugiej kwestyi, jako zawilszej, znacznie więcej uwagi. Trafne wywody są nie do zbicia. Bogata literatura, na której się oparł autor, znajomość wszystkich prawie źródeł kwestyi, kuwady dotyczących, bystrość w orientowaniu się, jasność w wykładzie zapewniają hipotezie Ciszewskiego trwałość w nauce. Autor „Ogniska“ toruje etnologii polskiej nową swoją pracą drogę do zajęcia poważnego miejsca w tej gałęzi nauki na Zachodzie.

M. Siwak.

**Dr. R. F. Kaindl:** *Neuere Arbeiten zur Völkerkunde, Völkerbeschreibung und Volkskunde von Galizien, Russisch-Polen und der Ukraine* (odbitka z czasopisma brunświckiego „Globus“, Tom 91, zeszyt 4 i 5, 1907).

Jest to sumienny przegląd materyałów ludoznawczych, zamieszczonych w wydawnictwach polskich i ruskich za lata 1904—1905. Autor porzeka na stanowisku sprawozdawcy, a tylko na niewielu miejscach podaje własne oświecenia lub wdaje się w polemikę. Omawiając artykuł Łopacińskiego „o ciągnięciu kota“, pisze: „Kot jest to zapalona słoma lub pióro, które grający szybko sobie podają; u kogo zgaśnie, ten ponosi karę. Mylnie mniema Ł., że zabawa ta z powodu niebezpieczeństwa wyszła z użycia. Odbywa się jeszcze u Hucułów pod nazwą „oharczyk“. Może nazwa huculska zdoła objaśnić polską, której Ł. nie umie wytłumaczyć. Czy kot nie stoi w związku z „knotem“, co przypominałoby huculski „oharczyk“. — Streściwszy rozprawy Tow. im. Szewczenki, protestuje p. Kaindl (zupełnie słusznie) przeciw nadużyciu wyrazu: „Ukraina“ i rozciąganiu go także na Galicyę. Przymiotnik: „ukraiński“ — pisze p. K. — nie jest jednoznaczny z przymiotnikiem „ruski“ i nie może być stosowany do Rusinów, zamieszkujących Galicyę, Węgry i Bukowinę. Raczej wyraz „Ruś“ (Rutenia) obejmuje także Ukrainę i oznacza cały obszar, zamieszkały przez Rusinów, jak się go zresztą w tem znaczeniu powszechnie używa“.

M. Janik.

**R. F. Kaindl.** *Geschichte der Deutschen in den Karpathenländern.* Erster Band. *Geschichte der Deutschen in Galizien bis 1772* Gotha 1907, str. 369.

Niemcami w Galicyi mało bardzo zajmuje się nasza powszechność, a ogół nasz o ich dziejach wie tylko tyle, że istniejące kolonie niemieckie założył cesarz Józef II, a za polskich czasów były niektóre miasta małopolskie i halicko-ruskie, leżące w dzisiejszej Galicyi, „podziemczone“, w szczególności Kraków, gdzie w okresie przedjagiellońskim istniało możne mieszczaństwo niemieckie. O tem n. p. że Niemcy w okolicy Białej są pozostałością z kolonizacyi, przedsięwziętej w połowie XIII w. po wielkim napadzie Mongołów na Polskę i Śląsk, o samej kolonizacyi w Polsce za czasów panowania Piastów, która była nadzwyczajnie ważnym czynnikiem w dziejach naszych i w rozwoju kulturalnym, o tem, jako też o dziś istniejących stosunkach w osadach niemieckich galicyjskich, bardzo mało kto co wie. Dziwna rzecz, że w piśmiennictwie naszym, które we wszystkich dziedzinach nauki a szczególnie na polu dziejów i starożytności ojczystych posiada tyle świetnych przedstawicieli, dotychczas niema dziejów kolonizacyi niemieckiej w Polsce z czasów niepodległości państwa polskiego w całokształt ujętych, tej kolonizacyi, która ogrom ziem polskich zniszczyła narodowo. Dlatego z radością powitać należy pracę profesora wszechniży czerniowieckiej R. F. Kaindla, której napis znajduje się powyżej w nagłówku i która, pomijając jej dążność niemiecko-narodową, oparta na skrzętnych badaniach źródło-

wych, stanowi ważny przyczynek do dziejów kolonizacji w Polsce. Obejmuje ona wprawdzie tylko Małopolskę i Ruś halicką, nie mniej przeto zawierając bardzo wyczerpujące przedstawienie ustroju niektórych miast, kolonizowanych przez Niemców, w tym kierunku ogólne posiada znaczenie i stanowi cenny nabytek dla wewnętrznych dziejów Polski.

Dzieło Kaindla, oparte na bardzo obszernym materiale źródłowym, rozpoczyna od nawiązywania pierwszych stosunków niemiecko-polskich. Niemki małżonki pierwszych Piastów w Polsce, a później na Śląsku, pierwsze torowały Niemcom: duchowieństwu i rycerstwu drogę do ziem polskich, a w części jak Ryxa, św. Jadwiga, żona księcia wrocławskiego Henryka I, i inne, także osadnictwu niemieckiemu. Widać to wyraźnie na Śląsku, gdzie syn Władysława II, urodzony z Niemki i z Niemką ożeniony Bolesław, pierwszy zakłada na ziemiach polskich klasztor w Libiążu (Leubus), zaludniając go mnichami niemieckimi z Pforto nad Sałą, którym nadaje rozległe posiadłości ziemskie, uwalniając zarazem wszystkich Niemców, osiadłych na dobrach klasztornych, od prawa polskiego a nadając im z góry prawo niemieckie. Przykład Bolesława śląskiego znalazł naśladowców w książeckach polskich. Kazimierz II, zasiadłszy na tronie wielko-książęcym krakowskim, nadaje rycerzowi Winfriedowi, przybyłemu z nad Renu, rozległe dobra w Małopolsce wraz z prawem niemieckim dla osadnictwa niemieckiego. Był to początek kolonizacji niemieckiej w właściwej Polsce, którą później, podczas rządów w Polsce księcia wrocławskiego Henryka I, uprawiano szczególnie na Podhalu. Po wielkim napadzie Mongołów w r. 1241, za rządów Bolesława Wstydliwego, wychowawca śląskiego Henryka i żony jego św. Jadwigi, otworzono na oścież bramy Polski dla niemieckiego przychodztwa. Kraków, Sandomierz, Nowy Sącz i inne grody powstają z popiołów zniszczenia mongolskiego jako miasta niemieckie a przynajmniej jako takie, którym Niemcy urzędzeniami swojemi nadają piętno i znamię swoje.

Niemieckie mieszczaństwo rozkwita szczególnie w Krakowie. Z dobrobytem wyrasta w siłę polityczną, wywierając rozstrzygający wpływ na obsadzenie tronu wielko-książęcego, a także na losy Polski. Mieszczanie krakowscy popierają swego przyjaciela Leszka Czarnego przeciw szlachcie polskiej, powołują śląskiego księcia Henryka II i czeskiego Wacława na tron krakowski a w r. 1311 podnoszą wójtowie niemieckich miast małopolskich bunt przeciw królowi Władysławowi Łokietkowi, otwierając bramy miasta zniemczalnemu księciu opolskiemu Władysławowi. Na północy groziło Polsce niebezpieczeństwo ze strony Krzyżaków, którzy już posiadli Gdańsk, na południu usiłowali przybysze niemieccy zawładnąć tronem wielko-książęcym krakowskim, a w odwodzie czyhał Jan Luksemburczyk, król czeski, by w stosownej chwili uderzyć na Polskę i zawładnąć nią zupełnie. Między wrogami istniała zmowa i porozumienie, Polska stała nad brzegiem przepaści, a to właśnie tworzy tło, na którym uwypukła się jako czyn zbawienia ojczyzny, zgniczenie buntu krakowskiego przez Łokietka. Autor książki sławi atoli bunt ten jako objaw siły politycznej mieszczaństwa niemieckiego w Mało-Polsce, jako dążenie narodowo-niemieckie, ubolewając, że później to mieszczaństwo już nigdy nie odegrało tak wybitnej roli politycznej.

Dążność narodowa autora, czyniąca ujmę wartości naukowej dzieła, przecenia rozmiary i doniosłość kultury niemieckiej w Małopolsce i na Rusi halickiej, względnie na terytoryum dzisiejszej Galicyi, zaszczerpionej przez osadnictwo niemieckie, aczkolwiek nie można przeczyć, iż powstanie miast w europejskim znaczeniu wraz z wszelkimi następstwami, jakoteż rozszerzenie wolności na znaczną część ludności, nie należącej do stanu szlacheckiego, na podstawie wprowadzenia prawa niemieckiego dla osad przywilejowanych, mamy osadnictwu niemieckiemu do zawdzięczenia.

Autor wylicza w dzisiejszej Galicyi nie mniej jak przeszło 650 osad miejskich i wiejskich, „lokowanych“ przez książąt i królów polskich na prawie niemieckiem t. j. wyposażonych samorządem i wolnością osobistą mieszkańców. Na ziemiach niemieckich były tylko miasta samorządne i wolne, w Polsce zaś stosowano to samo także do osad wiejskich i pod tym względem Polska prześcignęła Niemcy, co autor lojalnie przyznaje.

Nie można atoli godzić się na jego twierdzenie, jakoby w Małopolsce i na Rusi halickiej prócz miast jak Kraków, Sandomierz, Lublin, Nowy Sącz, Wieliczka, Biecz, Krosno, Pilzno, Lwów i Sanok, gdzie istniało silne niemieckie osadnictwo mieszczańskie, równie inne osady miejskie i wiejskie, posiadające prawo niemieckie, nawet takie, które nosiły nazwy niemieckie, posiadały, z małymi jedynie może wyjątkami, ludność niemiecką. Sołtysi i wójtowie, którym poruczano zakładanie nowych lub przeobrażanie istniejących na podstawie prawa niemieckiego, bywali Niemcy, a najczęściej podniemczeni Ślązacy, lecz ludność tych osad była polską lub ruską, skoro nie znajdują się żadne dowody, na podstawie których możnaby twierdzić przeciwnie, i owszem w starych księgach i zapiskach gminnych, jakie się zachowały, żadnego śladu ludności niemieckiej niema. Monografia dr. Zofii Daszyńskiej-Golińskiej „Uście Solne“, prof. B. Ulanowskiego „Wieś Polska pod względem prawnym“, gdzie szczegółowo wyświecone są wewnętrznie dzieje wsi Kasiny Wielkiej, i inne prace tego rodzaju o osadach, urządzonych podług prawa niemieckiego, oparte na skrzętnych studyach archiwalnych, nie wykazują ludności niemieckiej, a nawet, jeśli tu i ówdzie w zapiskach starych miejskich znajdzie się jakie nazwisko niemieckie, lub wzmiankę o garstce mieszczan niemieckich, z tego żadną miarą nie można wysnuwać wniosku o niemieckości osady. Trzeba mieć dalej na uwadze, że osadnicy obcy przybywali do Małopolski i na Ruś główne z sąsiedniego Śląska, gdzie w XIII i XIV w. żywił niemiecki, skupiający się głównie po większych miastach i na dobrach klasztornych, nie był tak liczny, by mógł w Polsce zaludnić rozliczne osady. Owszem z Ślązka wychodziła polska ludność wypierana, przez kolonistów niemieckich a upośledzana przez panujących i niemieckie klasztory, a jeśli z miast śląskich wychodzili także Niemcy do Polski, mogłyby ich być tylko mała garstka. Do nowych osad z prawem niemieckiem ściągąca się też ludność, lecz nie krajowa, na co istnieją liczne dowody. Natomiast między wójtami i sołtysami dużo bywało Niemców i podniemczonych Ślązaków, co tem się tłumaczy, iż używano ich chętnie do zakładania lub przeobrażania osad jako sprawniejszych do tego, jako

ludzi, dających większą rękojmię udania się przedsiębiorstwa, obliczanego prawie zawsze na podniesienie dochodów właściciela ziemi. Następnie bogaci niemieccy mieszczenie z Krakowa, Sandomierza, Nowego Sącza, Lwowa i Biecza, posiadając prawo nabywania dóbr, zakładali na swoich posiadłościach osady, na które wedle ówczesnego zwyczaju przenosili swe nazwiska. Tym sposobem otrzymywały czysto słowiańskie osady nazwy niemieckie jak n. p.: Zamarstynów pod Lwowem, noszący dawniej nazwę Sommerstein od właściciela swego Sommersteina, mieszcza- nina lwowskiego, Kulparków dawny (1483) Goldberg od właściciela Pa- wła Goldberga, Kleparów od właściciela Andrzeja Kloppera i t. d. Prof. Kaindl uważa każde niemieckie imię lub prawdopodobnie niemieckie chrzestne wójta, lub sołtysa, każdą nazwę miejscową, zdradzającą nie- mieckie pochodzenie, jako dowód niemieckości osady, co jest widocznie ogromną przesadą i nie zgadza się z prawdą dziejową.

Bardzo skrzętnie i gorliwie, z ogromnym nakładem pracy i mozołu wydobywa on szczegóły, nawet drobniejsze, mogące świadczyć o kultu- rze niemieckiej w Polsce z kodeksów dyplomatycznych, kronik i ksiąg miejskich, z najrozmaitszych źródeł niemieckich, polskich i ruskich, i używa ich jako cegieł, dla wzniesienia monumentalnego pomnika ziom- kom swoim na ziemiach polskich. Przytoczone przy końcu książki pi- śmiennictwo zdumiewa wręcz rozległością ogromną. Korzystał z pracy wszystkich kodeksów dyplomatycznych polskich i śląskich, roczników naukowych i kronik, z prac: Piekosińskiego, Szujskiego, Bobrzyńskiego, Janoty, Szczęsnego Morawskiego, Ambrożyego Grabowskiego, Karbo- wiaka, Bujaka, Kopyry, Ptaśnika, Maryana Sokołowskiego, Windakiewi- cza, Kutrzeby, Władysława Łozińskiego, Czołowskiego, Bąkowskiego, Le- pszego, Tomkowicza, Prochaski, Papego i wielu innych, nie mniej też z ruskich pisarzy: Szaraniewicza, Hruszewskiego, jako też niemieckich: Roepella i Cara, Kałużniackiego, Grünhagena, Marggrafa, Stenzela, Arbenza, Szelig, Essenweina, Buchera, Biermanna i innych.

Najcenniejszą część dzieła stanowi opis ustroju miast i ich urzą- dzeń wewnętrznych, jakoteż rzecz o sądownictwie i prawie niemieckiem. Wszystko to roztrząsa autor bardzo szczegółowo i wyjaśnia z wielką znajomością przedmiotu, co w tym kierunku czyni jego książkę wa- żnym i bardzo pożądanym nabytkiem i przyczynkiem do wewnętrznych dziejów Polski, szczególnie w okresie piastowskim: można nawet powie- dzieć, iż piśmiennictwo nasze bardzo mało posiada prac tak wyczerpu- jących z tego zakresu.

Na ziemiach polskich pierwszy nadaje prawo niemieckie książę śląski Bolesław, syn Władysława II, założonemu w r. 1175 przez siebie klasztorowi niemieckiemu w Libiążu dla darowanych mu posiadłości ziemskich, a mniej więcej równocześnie czyni to samo w właściwej Polsce, względnie Małopolsce, Kazimierz Sprawiedliwy, który wracając z niewoli niemieckiej jako zakładnik przywozi ze sobą z nad Renu ry- cerza Winfrieda, któremu nadaje na prawie lennem trzy starostwa na Pod- górze podatrzańskim i podbieskidowem. Przechowany o tem doku- ment okazał się falsyfikatem, wskutek czego rzecz ta mgłą dziejową osłonięta. Pierwszem nadaniem niemieckiego prawa w Polsce, dziejowo

stwierdzonym, jest przywilej Leszka Białego z r. 1225, udzielony krakowskiemu biskupowi Iwonowi, na podstawie którego dozwolono mu na posiadanej przez siebie ziemi zakładać osady na prawie niemieckiem. Taki sam przywilej nadaje Henryk Brodaty przed r. 1234 Cedrowi (Theodorowi) wojewodzie krakowskiemu dla Podhala, gdzie dworzanie jego zakładają miasto „*Neymarg*“, — jeden z nich Rychald pochodził z śląskiego miasta Srody (Neumarkt) — późniejszy Nowy Targ. W r. 1244 otrzymuje Podolen od Bolesława Wstydliwego prawo magdeburskie. Potem mnożą się osady wyposażane prawem niemieckiem w Małopolsce, wyludnionej i zniszczonej przez napady Mongołów.

Moc udzielania prawa niemieckiego, przez co następowało uwolnienie od prawa polskiego krajowego i jego ciężarów, posiadał w pierwszym rzędzie książę panujący. Prerogatywę tę zlewał na świeckich i duchownych właścicieli dóbr ziemskich, którzy znowu zakładali na ziemi posiadanej osady na prawie niemieckiem, lub też nadawali je wsiom już istniejącym. Właściciele ziemi przenosili w tym razie nabyte od księcia prawo na sołtysów lub wójtów, poruczając im zakładanie nowych lub przeobrażanie istniejących osad i stawiając ich na czele tychże. Tym sposobem powstawał pomiędzy sołtysem lub wójtem a właścicielem ziemi z jednej strony, zaś z drugiej między tym a księciem panującym stosunek lenny. Autor przytacza zajmujące orzeczenie prawnicze z r. 1496, iż sołtysostwa mogą w dwojaki sposób przypadać właścicielowi ziemi: po pierwsze przez kupno, i po drugie w myśl postanowień prawa feudalnego; gdyż pomiędzy sołtysami a ich panami obowiązuje to prawo, stosunki zaś między sołtysami a innymi osobami porządkuje prawo magdeburskie. Sąd, przed którym stawiali sołtysi i wójtowie, lub przed którym załatwiali swe prawne sprawy, zwał się „*iudicium feudale*“ lub „*ius leńskie*“ a więc sąd lenny.

Książę w dokumencie wystawionym uwalniał obszar ziemi przeznaczony na osadnictwo od prawa krajowego, jakoteż od władzy zwyczajnych urzędników państwowych, i zarazem udzielał osadzie prawa niemieckiego, lub też upoważniał posiadziela ziemi do nadawania tego prawa. Mieszkańcy osad na nieksiążęcej ziemi podlegali jej posiadzielowi i ustanowionemu przez niego sołtysowi lub wójtowi, ci zaś podlegali sądowi posiadziela jako swego bezpośredniego pana lennego, jednak często zatrzymywał książę jako najwyższy pan lenny ostateczne orzeczenie sądowe dla siebie. Zwyczajnie nadawano prawo magdeburskie lub też prawo miejskie niemieckie podług modły miast śląskich, Wrocławia i Srody, rzadko kiedy prawo innych miast niemieckich. Zdarzało się też, iż nowym osadom nadawano prawo niemieckie podług modły starszych miast polskich. Tak np. otrzymał Prądnik (1334), Tarnów (1330), Dobczyce (1330), Ujazd i Wróblowa (1334), Skawina (1364), Pilzno (1354), Wieliczka (1361), Lanckorona (1366) krakowskie prawo.

Liczba łanów wymierzanych osadzie bywała różna, wielkość osady zależała ostatecznie od jej rozwoju. Część obszaru gminnego bywała użytkowaną wspólnie. Przedewszystkiem wydzielano wspólne pastwisko, w miastach równie — a mniej więcej połowę takiej przestrzeni na „skotniczę“ czyli na „vigony“ (wygon bydła). „Skotnicza“ przedstawiała

drogę dla pędzenia była przez środek osady, zatem tworzyła główną ulicę i główny plac. Przy tej drodze na prawo i lewo znajdowały się zagrody a rzemieślnicy i kupcy ustawiali tu swoje kramy i tu odbywał się targ. Las był także wspólny. Na czele osady, wyposażonej prawem niemieckiem, stał sołtys lub wójt, sprawujący w osadzie urząd naczelnika i sędziego.

Autor pisze: „Ponieważ zadanie sołtysa lub wójta było trudne i odpowiedzialne, rzecz naturalna, iż stawiano na tem stanowisku zaufanych i dzielnych ludzi“.

Dziedziczni sołtysi i wójtowie mogli po największej części sprzedawać swe urzędy wraz z wyposażeniem. Zmiany w sołtysowstwach i wójtowstwach zdarzały się często. Z urzędami tymi były połączone znaczne beneficya. Sołtysi i wójtowie otrzymywali wielki kawał ziemi i lasu, przywileje do prowadzenia przedsiębiorstw zarobkowych i kupieckich a z opłat domowych i gruntowych przypadała im część szosta, również musieli rzemieślnicy i kupcy oddawać im część dochodów z swej pracy. Ci naczelnicy osady uprawiali często wyłącznie pszczelarstwo, piwowarstwo i młynarstwo, byli wszakże obowiązani do służby wojennej. Byli sołtysi i wójtowie dziedziczni, dożywotni i tacy, którzy doznawali ograniczenia na swoich stanowiskach urzędowych. Niektórzy z dziedzicznych tracili urzędy. Po buncie w r. 1311—1312 w Krakowie bywało wójtowstwo tylko wydzierżawiane przez króla a wójt krakowski w pierwszej połowie XIV wieku zwał się „*Myteling des Gerichtes unsers Herrn des Königs*“.

Obszernie rozwodzi się autor nad prawami i obowiązkami mieszczan i chłopów w osadach z prawem niemieckiem. Rozdział ten jest bardzo dobrze opracowany i wielce zajmujący.

Prócz własności ziemskiej posiadali mieszczenie i chłopci inne jeszcze korzyści i prawa. Mieli z sołtysami i wójtami wspólne prawo rybołówstwa, paszenia bydła, zrębu w lesie. Miasta używały prawa targów i uwolnienia od ceł, czego zwyczajnie udzielał tylko panujący książę, jako też prawo utrzymywania składów. Niektóre miasta były uprawnione do bicia monet i do uprawiania górnictwa, warzelnictwa i do mieńby (handlu) solą. Największą korzyścią osad z prawem niemieckiem było uwolnienie od licznych i przykrych ciężarów, polegających na różnych daninach, służebnościach i robociznie, wynikających z polskiego prawa. Obowiązane były one głównie do opłaty od ziemi w pieniądzu. Od łanu płacono zwyczajnie ośm skottów, równych szesnastu groszom albo trzeciej części marki polskiej liczby. Wyjątkowo uiszczano daninę od ziemi w surowych płodach. Istniała też dziesięcina od zboża, którą zamieniano w opłatę pieniężną, jako też pańszczyzna, w dawniejszych czasach tylko w rzadkich wypadkach. Polegała ona głównie na uprawie roli, mianowicie na zoraniu pewnej przestrzeni lub też robocie polowej przez pewną liczbę dni. Wymiar pańszczyzny był rozmaity. Następnie uiszczano też rozmaite podatki na rzecz państwa. W miastach warownych byli mieszczenie obowiązani do zbrojnej obrony swego grodu. Wyjątkowo użyczali panującym przeciw Tatarom, o czem świadczy doku-

ment Leszka z r. 1288. Nowosądeczanie posiłkowali Łokietka przeciw zbuntowanym Krakowianom. Od roku 1350 obowiązany każdy chłop z osady o prawie niemieckiem płacić po dwa szkoty od łanu na cele wojenne. Większe miasta dostarczają wozów, żywności i dział. Przy zakładaniu osad zwalniano je na kilka lat od wszelkich ciężarów publicznych — do pięciu do dwudziestu lat, prócz tego zwalniano je od czasu do czasu, prócz „lat wolnych“, od danin i podatków na pewien przeciąg czasu.

Jeszcze obszerniej traktuje autor sądownictwo i prawo niemieckie. Mieszkańcy osad obdarzonych prawem niemieckiem były zupełnie samorządne i podlegały w drugiej instancji sądom lennym prowincjonalnym a w ostatniej najwyższemu trybunałowi sądowemu królewskiemu. W sprawach tych osad nie miał prawa wydawać wyroku ani starosta, ani kasztelan, ani wojewoda. Niezawisłość ta od zwyczajnych krajowych sądów przysługiwała w Polsce także wiejskim osadom, co już powyżej wspomnieliśmy, a dlatego prawo niemieckie używane w Polsce posiadało znamiona wybitne prawa miejskiego, z tego powodu też widzimy cały szereg osad wiejskich urządzonych na podstawie prawa magdeburgskiego. Pierwszą instancją sądownictwa na podstawie prawa niemieckiego stanowił sołtys lub wójt z ławnikami, których zwano także „przysiężnymi“. Sołtysi i wójtowie przewodniczyli tylko sądowni, wyroki zaś wydawali ławnicy. Miejscowym sądom przydzielano często tylko mniejsze sprawy, podczas gdy ważniejsze zatrzymywał sobie do rozstrzygnięcia panujący książę lub posiadiciel ziemi. Z tego wynika, że panowie nadający lenna, czyto panujący książęta, lub duchowni i świeccy posiadziciele ziemi, zatrzymywali sobie w niektórych osadach części sądownictwa. Pan lenny nie mógł jednak dowolnie wydawać wyroków, lecz musiał się trzymać prawa niemieckiego, także i w takich razach wydawali wyroki ławnicy, którym tylko pan w miejsce sołtysa lub wójta przewodniczył.

Miejscowe sądy okazały się atoli jako niedostateczne, mianowicie gdy chodziło o spory prawne pomiędzy mieszkańcami osady „lokowanej“ na prawie niemieckiem, z innymi osobami, a szczegółólnie przynależącymi do stanu szlacheckiego. Potrzeba ta zrodziła nadworne sądy lennicze tj. na dworze książąt panujących i po dworach, względnie klasztorach, posiadziciele osad z prawem niemieckiem. Sądy te wyższe różnie nazywano, jako to: „*iudicium provinciale*“, „*iudicium iuris provincialis*“, „*iudicium curiae*“ i także „*feodale iudicium*“, „*ius linski, lenske, lencale, lencum*“.

Przedewszystkiem siedzibą takiego lennego trybunału był zamek królewski na Wawelu. Trybunał nosił w r. 1337 nazwę: „*Jus theutunicum iu castro Cracoviensi*“, później zwano go „*iudicium nostrum theutonicum Cracoviense*“. Drugi trybunał lenny sądowy istniał w Sandomierzu, trzeci w Sączu przy klasztorze Klarysek. Również kasztor w Tyńcu posiadał taki sąd a nie brak śladów w pismach starych, że podobne sądy lenne istniały po dworach panów. Sąd lenny królewski stanowił wyższą instancję nad wszystkimi sądami miejscowymi i innymi lennymi. W tym królewskim sądzie leżał zaróđ najwyższego trybunału królewskiego, ustanowionego na zamku wawelskim przez króla Kazimierza Wielkiego,

zwanego „*supremum iudicium iuris theutonici in castro Cracoviensi*“.  
Przewodniczący tego sądu mianował się „*iudex seu advocatus*“.  
Godność tę otrzymywali kilkakrotnie mieszczanie krakowscy.

Zauważyć należy, że przed utworzeniem najwyższego królewskiego trybunału na zamku krakowskim sądy ławnicze miejskie w wątpliwych wypadkach zgłaszały się do miast niemieckich po wyroki, skąd je otrzymywali. Kazimierz Wielki, zakładając najwyższy trybunał, zakazał miastom udawać się do Niemiec po wyroki jako rzecz, ubliżającą powadze króla i państwa polskiego. Prócz tego trybunału ustanowił król Kazimierz Wielki tym samym dokumentem jeszcze wyższy sąd, który zgromadzał się tylko od czasu do czasu w ważniejszych wypadkach. Był to sąd odwoływania się przeciwko wyrokom najwyższego trybunału do osoby samego króla, sąd złożony z dwunastu komisarzy, w których skład wchodziło po dwóch rajców, wybranych przez miasta: Kraków, Sącz, Bochnia, Wieliczka, Kaźmierz i Olkusz. W dokumencie Kazimierza Wielkiego oznaczony jest bieg instancji: sąd miasta Krakowa („*iudicium civitatis Cracoviensis*“), nad tym trybunał sądowy królewski na zamku królewskim („*supremum ius theutonicum Magdeburgense, quod et provinciale dicitur, castri Cracoviensis*“) i w ostatniej instancji osoba króla z sądem komisarzy, wydająca ostateczny wyrok, przeciw któremu nie było już odwołania.

Sołtysi i wójtowie byli przedstawicielami pana lennego po miastach i wsiach. Miasta w szczególności posiadały bardzo szeroki samorząd. Najważniejszym organem samorządu miejskiego byli rajcowie (*consules*). Jako pierwszy rajca w Krakowie wzmiankowany Volradus de Keczser. Liczba rajców bywała nie wszędzie jednakowa, od sześciu do dwudziestu czterech. W Krakowie w r. 1435 zasiadało ich 24. Godność ich stała się później dożywotnią. Jeden z nich, który obradom przewodniczył, był burmistrzem miasta („*magister civium*“ albo „*pro-consul*“). Zakres działania rajców był wielki. Wykonywali oni w mieście całą władzę ustawodawczą i administracyjną, odbywali mniejsze sądy w sprawach rozmaitych przepisów i ustanowień miejscowych, jakoteż w sprawach cechowych. Do nich należało utrzymywanie porządku, czuwanie nad publicznem bezpieczeństwem i obyczajnością, nadzorowanie rzetelności miar i wag jakoteż prawdziwości i pełnoważności monet, jednym słowem wszystko, co do zakresu spraw wewnętrznych gminy należało. Oni też przyjmowali obcych do związku mieszczańskiego, zawiadywali skarbowością miasta, zaciągali pożyczki i wypożyczali pieniądze miejskie — byli samowładnymi panami miasta. Między urzędnikami miejskimi ważne stanowisko zajmował pisarz („*notarius civitatis*“), który miał pod sobą podpisarza („*subnotarius*“).

Autor omawia szczegółowo istotę cechów i ich dzieje, w szczególności w Krakowie, Lwowie i Nowym Sączu, gdzie w radnicy, w sądach ławniczych i w cechach urzędowano po niemiecku, — nie mniej urządzenia miast, zarząd ich, wytwórczość, mienie, szkolnictwo, zwracając także uwagę na solidarność, jaka pomiędzy niemieckiem mieszczaństwem istniała w całej Polsce, i przytaczając znamieny tego przykład, iż w r. 1460 mieszczanie poznańscy i gdańscy wstawiają się u Króla Kazimierza Ja-

giellończyka za niemieckimi obywatelami miasta Lwowa, by im wolno było sądzić obcych kupców podług prawa magdeburskiego.

Żałować należy, iż niemiecko-narodowa dążność autora, objawiająca się we wszystkich rozdziałach książki, psuje wrażenie dzieła, w poszczególnych ustępach znakomicie naukowo opracowanego. Jak dalece idzie przesada w tym kierunku, wystarczy przytoczyć fruktyfikację rumuńskich wyrazów, znajdujących się w naszych gwarach góralskich dla niemczyzny. Pisze on bowiem: „Dziś jeszcze wyrazy, pozostające w związku z owczarstwem zachodnio-galicyjskich górali mają być niemieckie(!), co dowodzi, iż Niemcy i w tem byli nauczycielami krajowej ludności“.

Młynarstwo podług niego również się rozwinęło u nas pod wpływem Niemców. Dowód: pytel z niemieckiego Beutel, grys z Gries krupy z Graupen. Pytanie tylko czy Gries odwrotnie nie pochodzi od grysu a Graupen od krup.

Wytyka nam autor dalej zapożyczenie od Niemców wyrazów z dziedziny górnictwa, rękodzieł, urządzeń miejskich, budownictwa i t. p. w szczególności między wielu innymi wyrazy: druk, handel, fracht, ratusz, browar, szlachta, szwele, szychta, gisernia, lichtarz, dach i t. d. co wszystko ma świadczyć o tem, iż kulturę u nas zaczępił i rozwinęli Niemcy.

Dobrze nam tak, jeżeli papiemy zamiast wytłocznia — drukarnia, zamiast mieńba — handel, zam. przewóz — fracht, zam. radnica — ratusz, zam. piwowar — browar, zam. rzeźnia — szlachtuz, zam. prog — szwele, zam. warstwa — szychta, zam. odlewnia — gisernia, zam. świecznik — lichtarz, zam. strzecha — dach i t. d., a w nowszych czasach zanieczyszczamy nasz piękny język takimi dziwolągami niemieckimi, jak banhof, kajzerka (bułka), dauerbrandy, forszus i t. d.

Kultura wogóle jest międzynarodowa. Niemcy jej nie wynaleźli, lecz przyswoili sobie także od innych narodów, a gdybyśmy chcieli robić ściśle poszukiwania w ich wyrazach z rozmaitych dziedzin pracy kulturalnej, znaleźlibyśmy z pewnością dużo obcych pierwiastków, chociaż przyznać trzeba, że Niemcy nie popisują się tak, jak my, bez potrzeby obcymi wyrazami. Do Polski wpłynęła też kultura z rozmaitych krajów i od różnych narodów. Tak jak od Niemców, nie można żądać od nas, żebyśmy sami stworzyli kulturę. Przywłaszczyliśmy ją sobie, skąd było najdogodniej, i przetrawiliśmy ją tj. spolszczyli podobnie, jak Niemcy ją zniemczyli, a zaiste dziką jest pretensya ze strony Niemców reklamować wyłącznie dla siebie rzecz nie swoją, lecz dobro wspólne wszystkich narodów.

Mniej samochwalstwa narodowego byłoby większem uwydatnieniem posłannictwa kulturalnego, jakie Niemcom wskutek zbiegu okoliczności i wskutek naszej nieopatrzności ze względu na ogromne straty narodowe, jakie ponieśliśmy przez osadnictwo niemieckie — przypało w Polsce. Uczonemu z tem nie do twarzy a w szczególności przynosi to niemałą ujmę dziełu, pod innym względem tak znakomitemu jak książka prof. Kaindla.

G. Smólski.

**Majer Balaban.** *Żydzi lwowscy na przełomie XVI i XVII w.* Lwów, 1906. Nakładem funduszu konkursowego imienia Hip. Wawelberga.

Żydzi w Polsce czekają na swojego historyka. Dzieje ich to teren tak mało znany, las takimi gąszczami zarosły, że zorientować się w nim, drogi powycinać, praca niemała. Podjął się części tego zadania dr. M. Balaban i spełnił je w sposób przynoszący mu chlubę. Zналиśmy autora z prac drobniejszych, poświęconych dziejom żydów polskich — praca obecna, odznaczona pierwszą nagrodą na konkursie im. H. Wawelberga przez wydział filozoficzny uniwersytetu lwowskiego, przewyższa wszystkie poprzednie i wartością i rozmiarami.

Nie mam zamiaru omawiać dzieła dra Balabana ze stanowiska historycznego w organie towarzystwa ludoznawczego, chciałbym tylko zwrócić uwagę czytelników „Ludu“ na cenny bardzo materiał etnograficzny, hojną dłońią rozrzucony w całej pracy, a zwłaszcza w części trzeciej. Cały rozdział XXII, poświęcony życiu prywatnemu żydów, możnaby nazwać studjum historyczno-etnograficznym. Synagoga i dom rodzinny to dwa punkty oparcia, w których żyd znajdował swobodę i w których mógł się śmiało obracać, niewidziany i niesledzony przez nikogo, mówi autor i daje barwny obraz tego tak mało znanego, bo zamkniętego świata.

Ciekawe szczegóły do wierzeń, związanych z przyjściem na świat dziecka, podaje dr. Balaban na str. 520 i 521. Obawa przed złymi duchami a głównie przed dyablicą Lilith nakazywała przybijać nad drzwiami, na oknach i nad łóżkiem położnicy amulety, chroniące matkę i dziecko przed złymi wpływami. Z tego samego powodu wkładano pod poduszkę obojętny nóż obrzezacza.

Przykład powstania legendy znajdujemy w rozdz. VIII. Zasługuje ona na bacniejszą uwagę, bo dzięki poszukiwaniom autora znamy prawdziwą postać, około której fantazja ludowa snuć poczęła swe opowiadania. Mamy więc niejako na gorącym uczynku pochwyconą legendę w stadium tworzenia się. Odnosi się ona do „Złotej Róży“ — „die güldene Rojse“ — Róży Nachmanowej. Autor podaje trzy wersje: Suchystawa, Samuely'ego i zapisaną przez siebie. Najciekawszą jest pierwsza, zwłaszcza jeżeli się ją zestawi z historią prawdziwej Róży. Przytoczę ją w całości:

„Jako jest napisanem w pinaksie Towarzystwa pogrzebowego: księża zajęli świątynię i była w ich ręku 4 lata i 6 miesięcy, a cudem było, że jej nie zbeczcęcili. I stało się, że ta kobieta wielka była wpływowa u króla i panów i wydała ucztę dla króla i panów, by pozyskać króla i powrócić koronę do dawnej świetności, t. j. świątynię w nasze ręce. A gdy księża widzieli, że się ich przedsięwzięcie nie udaje i władza Żydów jest wyższą i to dlatego, że ta kobieta ma wielkie znaczenie u króla i panów, uradzili świątynię zająć i zamienić ją w kościół. Gdy się ta kobieta o wszystkim dowiedziała, wołała z goryczą w duszy przed królem i panami i uzyskała rozkaz królewski, by powstrzymano wszelkie kroki i przedłożono ją przed sąd króla i panów.

A gdy poszła z tem przed naczelnika księży i pokazała mu pismo królewskie, a gdy zobaczył to pismo, zabił ją i pociął w kawałki.

I oddała swą duszę za świętość boską. Świątynia nasza będzie pamiętką po niej. Bóg niechaj pomści jej krew, a zasługa jej niechaj się policzy całemu Izraelowi. Amen“.

Historycznie da się stwierdzić, że Róża Nachmanowa, dzierzawczyni dochodów i rogatek starościńskich we Lwowie, zmarła w r. 1637, przyczyniła się do ocalenia bóżnicy, skonfiskowanej przez Jezuitów.

Analizując legendę o „güldene Rojse“, zwraca autor uwagę na księgę Ester (uczta, na którą Róża zaprasza króla i w czasie której zyskuje łaskę królewską) i na tendencję uśmiercenia bohaterów, których imię zostało związane z budową wielkich kościołów, zamków, mostów, bóżnic i. p.

„Cudowną moc słowa“ (rozd. V. Karłowicza: O człowieku pierwotnym str. 99—118) przypomina w Dodatkach pomieszczona notatka o Suchystawie, zmarłym około r. 1880 (st. 553).

Tych szczegółów garstka posłużyć może jako dowód, jakie bogactwo etnograficzne kryje się w książce dra Balabana. Dla dziejów Żydów w Polsce nieoceniona praca jest i dla etnografa prawdziwą kopalnią. Wartość jej podnoszą liczne, bardzo dobrze dobrane i przeważnie znakomicie wykonane ryciny. Jest ich pokaźna liczba, bo 77. Na szczególną uwagę zasługuje ryc. 60—68, pochodzące ze zbioru rycin biblioteki Pawlikowskich we Lwowie.

M. Siwak.

*Zeitschrift für österreichische Volkskunde.* Organ des Vereines für österreichische Volkskunde in Win. Redigiert von Dr. Michael Haberlandt. XII. Jahrgang 1906. VI Heft.

Rozprawa A. Sikory z Innsbrucka p. t. Der Kampf um die Passionsspiele in Tirol im 18. Jahrhundert zapoznaje nas z dziejami widowisk passyjnych za czasów Maryi Teresy i Józefa II, rozpowszechnionych, jak z pracy autora wywnioskować można, w całym prawie Tyrolu już od XV w. Lud uważał je „nicht als eine Unterhaltung, sondern als Andacht, als gottgefällige Werke“, które skuteczniej działały w czasie klęsk elementarnych niż wszelkie kościelne ceremonie. Stąd zacięta walka, kiedy rządy oświeconego absolutyzmu wojnę im wypowiedziały. Najuporczywszą i najdłuższą była ta walka w Nauders i Kaltern. Szczegółowo, może za rozwlekle, kreśli owe zatargi autor, opierając się na bogatym materiale archiwum namiestnictwa w Innsbrucku.

Robert Eder podaje kilka zwyczajów z Czech północnych, odnoszących się do wesela, urodzin, chrztu (kilka przykładów „Patentbriefel“), śmierci i świąt w artykule: Volkstümliche Überlieferungen aus Nordböhmen.

Rubryka: Kleine Mitteilungen zawiera G. Jungbauera: Das Volkslied vom Eisenbahnunglück. Przykład powstawania pieśni ludowej pod wpływem wypadku, jaki zaszedł w r. 1870; — dalej prof. I. Kostiala: Zur Krainer Volkskunde. Notatka ta wyjaśnia pochodzenie wielu przysłów, porównań, żartobliwych zwrotów, jakie W. Tchirkeł zebrał w Koczewiu, wpływami sąsiednich Słoweńców. Przykładów słoweńskich równoznacznych z niemieckimi podaje Kostial 139.

Dział trzeci: Etnographische Chronik aus Österreich zawiera dwie notatki: Deutsche kulturhistorische Ausstellung für den Böhmerwald zu Eisenstein 1906 i Die Wiener Tagung der 5. Abteilung des Gesamtvereines der Deutschen Geschichts — und Altertumsvereine.

Z książek omówiono R. Meringera: Das deutsche Haus und sein Hausrat, H. Wolfsgrubera: Volkstümliche Kunst aus Oberösterreich, Bibliographie der Volkskunde (Dr. Haberlandt nazywają „ein nachahmenswertes Muster“). Kiedy my się zdobędziemy na tego rodzaju pracę! — dalej Dr. M. Höflera: Das Herz als Gebildbrot, Dusana Jurkovića: Slowakische Volksarbeiten, Dr. J. Zemmricha: Sprachgrenze und Deutschtum in Böhmen i F. Andressa: Denkmäler und Sagen im Bezirk Dobruza.

Zamyka zeszyt rubryka V: Mitteilungen aus dem Verein und dem Museum für österreichische Volkskunde i spis rzeczy. Wykaz subwencji daje sumę 950 k. Muzeum powiększono i pod względem zbiorów i co do pomieszczenia. Przybyły mianowicie trzy sale na zbiory alpejskie. Bardzo miłą wiadomość podaje zarząd muzeum, że przystępuje do ułożenia nowego przewodnika. Przyda się on bardzo, bo kiedy w ubiegłym roku w sierpniu zwiedzałem muzeum (godne naprawdę zwiedzenia), brak katalogu bardzo dawał się dotkliwie odczuć. Nie mogę na zakończenie powstrzymać się od powtórzenia wygłaszanego już nieraz ubolewania, że kraj nasz dotąd nie zdobył się na stworzenie muzeum etnograficznego. Drobne miłośnicy na Zachodzie wyprzedzają stolicę Galicyi. Gnuśność, ospałość, niedbalstwo, niezrozumienie własnych interesów! Nadaremnie gromadził ś. p. Kalina z niezmordowaną skrzętnością i prawdziwym zapalem materyał do przyszłego muzeum etnograficznego polskiego, nadaremnie czynił zabiegi i starania, by znaleźć na nie pomieszczenie, nie znalazł go w całym Lwowie. Powrócę do tej sprawy w osobnym artykule. Tutaj zaznaczę tylko, że zarząd naszego Towarzystwa przekazanej nam przez ś. p. Kalinę sprawy muzeum etnograficznego polskiego nie spuści z oka.

*Michał Siwak.*

